GEORGE ORWELL

Na dnie w Paryżu i Londynie

GEORGE ORWELL

Na dnie w Paryżu i Londynie

Przekład
Marcin Barski

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Tytuł oryginału: *Down and out in Paris and London*

O ubóstwo! Krzywdo straszliwa!
Chaucer

1

Rue du Coq d'Or, Paryż, siódma rano. Sekwencja wściekłych, ochrypłych krzyków z ulicy. Madame Monce, właścicielka małego hotelu naprzeciwko, wyszła na chodnik i beszta lokatorkę z trzeciego pietra. Na bosych stopach ma saboty, na ramiona opadają jej siwe włosy.

Madame Monce: – *Salope! Salope!* Ile razy mówiłam ci, żebyś nie rozgniatała pluskiew na tapetach? Wydaje ci się, że to twój hotel czy co? Dlaczego nie możesz wyrzucać ich przez okno jak wszyscy inni? *Putain! Salope!*

Kobieta z trzeciego piętra: – Vache!

Po czym rozbrzmiewa chór różnorakich krzyków, z każdej strony otwierają się okna i pół ulicy dołącza do kłótni. Dziesięć minut później wszystko gwałtownie milknie, gdyż przejeżdża szwadron kawalerii i wszyscy chcą się przyjrzeć żołnierzom.

Kreślę tę scenę, by choćby częściowo oddać klimat rue du Coq d'Or. Nie żeby kłótnie były jedyną tutejszą atrakcją, wciąż jednak rzadko zdarzały się poranki bez choćby jednego podobnego wybuchu. Awantury, żałosne nawoływania ulicznych handlarzy, okrzyki dzieci uganiających się na bruku za skórkami pomarańczy, a nocą głośne śpiewy i kwaśny odór wozów z odpadkami – wszystko to składało się na atmosferę ulicy.

Była to bardzo wąska uliczka – wąwóz otoczony wysokimi, owrzodzonymi kamienicami, pochylonymi dziwacznie ku sobie, jak gdyby zamrożonymi w akcie upadku. Wszystkie budynki mieściły hotele, wypełnione po brzegi lokato-

rami, głównie Polakami, Arabami i Włochami. Na parterach hoteli znajdowały się maleńkie *bistra*, gdzie można było się upić za równowartość szylinga. W sobotnie wieczory mniej więcej jedna trzecia męskich mieszkańców dzielnicy chodziła pijanych w sztok. Zdarzały się bójki o kobiety, arabscy robotnicy, zamieszkujący najtańsze hoteliki, prowadzili między sobą tajemnicze spory, rozstrzygane przy pomocy krzeseł, a czasem także rewolwerów. Nocą policjanci patrolowali te zaułki jedynie dwójkami. Była to dość szemrana okolica, a mimo to, pośród hałasu i brudu, mieszkali tu także zwykli, szacowni francuscy sklepikarze, piekarze czy praczki, trzymający się razem z boku i po cichu ciułający swoje małe fortuny. W sumie była to dość typowa paryska dzielnica biedy.

Mój hotel nazywał się Hôtel des Trois Moineaux. Była to ciemna, rozklekotana nora o pięciu piętrach, podzielona drewnianymi przegrodami na czterdzieści pokoików. Każdy z nich był maleńki i niewiarygodnie brudny, jako że hotel nie zatrudniał pokojówki, a Madame F., *patronne*, nie miała czasu na żadne porządki. Ściany były cienkie jak zapałka, a w celu ukrycia pęknięć pokryto je kolejnymi warstwami różowej tapety, które wciąż odpadały i za którymi gnieździły się niezliczone ilości pluskiew. Robactwo wędrowało pod sufitem całymi dniami niczym kolumny żołnierzy, nocami zaś schodziło wygłodniałe na żer, trzeba więc było wstawać co kilka godzin i tłuc je całymi setkami. Czasami, gdy pluskwy stawały się nie do zniesienia, zapalało się siarkę, by przegonić je do sąsiedniego pokoju; po czym zazwyczaj lokator za ścianą również okadzał swój pokój i pluskwy wracały. Było to miejsce brudne, ale bardzo przyjazne. Madame F. i jej mąż byli bowiem dobrymi ludźmi. Czynsz za pokoje wynosił od trzydziestu do pięćdziesięciu franków za tydzień.

Lokatorzy często się zmieniali, byli to głównie obcokrajowcy, którzy przybywali tu bez bagażu, zostawali na tydzień, a później znów znikali. Byli wśród nich przedstawiciele wszelkich profesji: szewcy, murarze, kamieniarze, robotnicy niewykwalifikowani, studenci, prostytutki, gałganiarze. Niektórzy z nich niebywale biedni. Na poddaszu pomieszkiwał bułgarski student, który wytwarzał eleganckie buty dla amerykańskich klientów. Od szóstej do dwunastej siedział na łóżku, produkując tuzin par i zarabiając trzydzieści pięć franków; resztę dnia spędzał, słuchając wykładów na Sorbonie. Studiował nauki kościelne, więc na podłodze jego pokoju pośród skrawków skóry walały się książki teologiczne. W innym pokoju mieszkała Rosjanka z synem, który sam siebie nazywał artystą. Matka pracowała po szesnaście godzin dziennie, cerując skarpety za dwadzieścia pięć centymów od sztuki, a tymczasem syn, porządnie ubrany, obijał się w kawiarniach Montparnasse. Jeszcze inny pokój został wynajęty dwóm różnym lokatorom, z których jeden pracował za dnia, a drugi nocą. W kolejnym pokoju starszy wdowiec dzielił łóżko z dwiema dorosłymi córkami, które obie chorowały na gruźlicę.

W hotelu nie brakowało postaci ekscentrycznych. Paryskie dzielnice biedy to miejsca, które przyciągają dziwaków – osobników, którzy znalazłszy się na samotnych, na wpół obłąkanych manowcach życia, przestali udawać ludzi normalnych czy choćby przyzwoitych. Ubóstwo daje im wolność od zwykłych norm społecznych, podobnie jak pieniądze uwalniają ludzi od obowiązku pracy. Niektórzy spośród lokatorów naszego hotelu wiedli życia osobliwe nie do opisania.

Tacy na przykład Rougierowie, para starszych, karzełkowatych łachmaniarzy, zajmujących się dość niezwykłym

handlem. Sprzedawali pocztówki na bulwarze św. Michała. Co ciekawe, pocztówki zapakowane były w pakiety i sprzedawane jako pornografia, podczas gdy w rzeczywistości były to zdjęcia zamków nad Loarą. Kupujący przekonywali się o tym, gdy było już za późno, i oczywiście nigdy nie zgłaszali pretensji. Rougierowie zarabiali około stu franków tygodniowo i dzięki żelaznej dyscyplinie wydatków potrafili pozostawać przez cały czas na wpół głodni i na wpół pijani. Ich pokój był tak brudny, że smród czuć było piętro niżej. Madame F. twierdziła, że żadne z Rougierów nie zmieniało ubrań od czterech lat.

Albo Henri, który pracował jako kanalarz. Był wysokim, melancholijnie usposobionym mężczyzną o kręconych włosach i nieco romantycznym wyglądzie, podkreślonym przez wysokie kalosze. Osobliwość Henriego polegała na tym, że całymi dniami, z wyjątkiem godzin pracy, potrafił się nie odzywać. Zaledwie rok wcześniej był zatrudniony jako szofer u dobrego pracodawcy i zarabiał tyle, że był w stanie odkładać pieniądze na przyszłość. Któregoś dnia zakochał się, a gdy dziewczyna odrzuciła jego zaloty, stracił panowanie nad sobą i kopnął ją. Kopnięcie to sprawiło, że dziewczyna niespodziewanie odwzajemniła jego uczucie z wielką siłą, i przez pół miesiąca żyli razem, wydając tysiąc franków z oszczędności Henriego. Po tym czasie dziewczę okazało się jednak niewierne, w związku z czym Henri dźgnął je nożem w ramię, za co trafił do więzienia na sześć miesięcy. W wyniku odniesionej rany dziewczę zakochało się w Henrim jeszcze mocniej. Para pogodziła się i postanowiła, że po wyjściu Henriego z więzienia kupią taksówkę, pobiorą się i ustatkują. Jednak dwa tygodnie później dziewczyna znów zdradziła, a gdy Henri wyszedł z więzienia, była już w ciąży. Henri nie dźgnął jej po raz drugi. Wpadł w alkoho-

lowy ciąg i przepił wszystkie oszczędności, co skończyło się kolejnym miesiącem w areszcie; po wyjściu na wolność znalazł pracę w kanałach. Nic nie mogło zmusić go do mówienia. Gdy pytano go, dlaczego pracuje jako kanalarz, nie odpowiadał, jedynie pokazywał dłonie skrzyżowane w nadgarstkach, co miało symbolizować kajdanki, i głową wskazywał południe, kierunek, w którym znajdował się areszt. Nadmiar nieszczęść najwyraźniej pomieszał mu w głowie.

Albo R., Anglik, który pół roku spędzał u rodziców w Putney, a drugie pół we Francji. We Francji wypijał cztery litry wina dziennie i sześć litrów w soboty. Pewnego razu wybrał się aż na Azory, gdyż podobno wino jest tam tańsze niż gdziekolwiek indziej w Europie. Był typem łagodnego domatora, który nigdy nie awanturował się ani nigdy nie trzeźwiał. Do południa wylegiwał się w łóżku, a od południa do północy zajmował swój kącik w *bistro*, upijając się po cichu i metodycznie. W trakcie owego upijania się przemawiał wytwornym, nieco kobiecym głosem na temat antycznych mebli. Oprócz mnie R. był jedynym Anglikiem mieszkającym w dzielnicy.

Mnóstwo innych osób żyło tu w sposób równie ekscentryczny: Monsieur Jules, Rumun o szklanym oku, czemu bezustannie zaprzeczał, Furex, kamieniarz z regionu Limousin, sknera Roucolle – choć ten akurat zmarł przed moim przyjazdem, stary Laurent, handlarz szmat, kopiujący swój własny podpis ze wzoru na skrawku papieru, który zawsze nosił w kieszeni. Gdyby mi czasu starczyło, z wielką frajdą napisałbym biografie niektórych z nich. Próbuję opisać ludzi z naszej dzielnicy nie dlatego, że są tak osobliwymi postaciami, lecz dlatego, że wszyscy są częścią tej opowieści. Opowiadam tu bowiem o nędzy, tej zaś po raz pierwszy

zaznałem właśnie w slumsach Paryża. Dzielnica ta, pełna brudu i przedziwnych osobników, zapewniła mi pierwszą lekcję poglądową na temat ubóstwa, a później stanowiła tło moich własnych doświadczeń. To właśnie z tego powodu próbuję po krótce dać obraz tego, jak wyglądało tutaj życie.

2

Życie w dzielnicy. Na przykład nasze *bistro*, znajdujące się na parterze Hôtel des Trois Moineaux, częściowo w sutenerze. Maleńka sala o ceglanej podłodze, przesiąknięte winem stoły i fotografia jakiegoś pogrzebu, podpisana *Crédit est mort*; do tego przepasani czerwonymi szarfami robotnicy, krojący kiełbasy wielkimi scyzorykami; i Madame F., wspaniała chłopka z Owernii o twarzy charakternej krowy, całymi dniami popijająca malagę „na żołądek"; i partie gry w kości o *apéritifs*; piosenki o *Les Fraises et Les Framboises* oraz o Madelon, która powiedziała: – *Comment épouser un soldat, moi qui aime tout le régiment?* – no i ów zdumiewający obyczaj publicznego uprawiania amorów. Wieczorami w *bistro* spotykała się połowa mieszkańców hotelu. Wątpię, by w Londynie dało się znaleźć pub, choć w ćwierci równie wesoły.

Można tam było usłyszeć przedziwne rozmowy. Jako przykład przytoczę słowa Charliego, jednej z lokalnych osobliwości.

Charlie to młodzieniec pochodzący z dobrej rodziny i nieźle wykształcony, który uciekł z domu i odtąd żył z nieregularnych przekazów pieniężnych od rodziców. Cerę ma wyjątkowo różową, policzki zdrowe, ciemne włosy delikatne jak u małego chłopca, a usta wyjątkowo czerwone i wil-

gotne niczym wiśnie. Stopy maleńkie, ramiona nieproporcjonalnie krótkie, dołeczki na dłoniach jak u niemowlaka. Gdy mówi, jego ciało pląsa i tańczy, jak gdyby nadmiar energii i radości życia nie pozwalał mu choćby na moment pozostać w bezruchu. Jest trzecia po południu i w *bistro* nie ma nikogo oprócz Madame F. oraz dwóch czy trzech mężczyzn chwilowo pozostających bez pracy. Charliemu nie robi jednak większej różnicy to, z kim rozmawia, przynajmniej tak długo, jak pozwala się mu mówić o sobie. Deklamuje niczym mówca na barykadzie, tocząc słowa z namaszczeniem i gestykulując krótkimi ramionami. Jego małe, nieco świńskie oczka lśnią entuzjazmem. Z jakiegoś powodu obserwowanie go jest głęboko odrażające.

Przemawia na temat miłości, która jest jego ulubionym tematem.

– *Ah, l'amour, l'amour! Ah, que les femmes m'ont tué!* Niestety, *messieurs et dames*, kobiety zawsze prowadziły mnie do zguby, do zguby beznadziejnej. W wieku lat dwudziestu dwóch jestem śmiertelnie zmęczony i skończony. Ale za to jakich rzeczy się nauczyłem! Jakież otchłanie mądrości zgłębiłem! Jakże wspaniale jest posiąść prawdziwą mądrość, stać się człowiekiem cywilizowanym w najwyższym tego słowa znaczeniu, stać się *raffiné, vicieux* i tak dalej, i tak dalej.

Messieurs et dames, dostrzegam wasz smutek. *Ah, mais la vie est belle* – nie wolno się smucić. Weselcie się, zaklinam was!

Zamijskiego wina daj, dżewtszyno! Ludzie z tfarzą szmutną, bądźcze żdrowi!

Ah, que la vie est belle! Słuchajcie, *messieurs et dames*, gdyż pełnia mego doświadczenia pozwala mi prawić o miłości. Wyjaśnię wam zatem, jakie jest prawdziwe znaczenie miłości – czymże jest prawdziwa wrażliwość, wyższa i naj-

bardziej wyrafinowana z rozkoszy, znana jedynie ludziom cywilizowanym. Opowiem o najszczęśliwszym dniu mojego życia. Niestety, dawno minął już czas, gdym znał taki rodzaj szczęścia. Czas ów już nigdy nie wróci, zarówno nadzieja, jak i pragnienie owego stanu odeszły mnie już na zawsze.

Słuchajcie więc. Zdarzyło się to dwa lata temu. Mój brat przebywał wówczas w Paryżu – jest on prawnikiem – a rodzice nasi nakazali mu odnaleźć mnie i zaprosić na kolację. Nienawidzimy się z bratem wzajemnie, postanowiliśmy jednak być posłuszni woli rodziców. Jednakże podczas kolacji mój brat upił się srogo trzema butelkami bordeaux. Zabrałem go do jego hotelu, kupiwszy po drodze butelkę brandy, a na miejscu uraczyłem go szklaneczką, wmawiając mu, że to pomoże mu otrzeźwieć. Wypił i zaraz padł na podłogę kompletnie zamroczony. Podniosłem go i oparłem plecami o łóżko, po czym przeszukałem kieszenie jego marynarki. Znalazłem tysiąc sto franków, schowawszy je do własnej kieszeni, zbiegłem po schodach, wskoczyłem do taksówki i uciekłem. Mój brat nie znał mojego adresu, byłem więc bezpieczny.

Dokąd udaje się mężczyzna, gdy ma pieniądze? Naturalnie do burdelu. Nie sądzicie chyba jednak, że miałem zamiar tracić czas na jakąś wulgarną rozpustę odpowiednią być może dla robotników? Nic z tych rzeczy, jest się przecież człowiekiem kulturalnym! Byłem złakniony i zarazem wybredny, wszak miałem w kieszeni tysiąc franków. Wybiła północ, nim znalazłem to, czego szukałem. Natknąłem się na bystrego młodzieńca, w wieku lat może osiemnastu, ubranego *en smoking* i z włosami zaczesanymi *à l'américaine*. Rozmawialiśmy w cichym *bistro*, z dala od bulwarów. Doskonale się rozumieliśmy. Mówiliśmy o tym i o owym, w tym

także o różnych rodzajach rozrywek. Wkrótce wsiedliśmy do taksówki i ruszyliśmy w drogę.

Taksówka zatrzymała się w wąskiej uliczce na uboczu, oświetlonej jedynie słabym światłem latarni gazowej. Na bruku lśniły ciemne plamy kałuż. Wzdłuż uliczki wznosił się nagi mur jakiegoś klasztoru. Mój przewodnik prowadził mnie ku wysokiej, zrujnowanej kamienicy o zatrzaśniętych okiennicach, i kilkukrotnie zapukał do drzwi. Po chwili z wewnątrz dało się słyszeć kroki i trzask zamków, a drzwi lekko się uchyliły. Wysunęła się zza nich ręka; była to ręka wielka i zakrzywiona, podetknęła nam dłoń pod nosy, żądając pieniędzy.

Mój przewodnik wsunął stopę między drzwi i zapytał:

– Ile chcesz?

– Tysiąc franków – odpowiedział kobiecy głos. – Płacicie z góry albo nie wchodzicie.

Wsunąłem w dłoń tysiąc franków, a pozostałe sto wręczyłem przewodnikowi, który pożegnał się i odszedł. Usłyszałem dochodzący ze środka szelest liczenia banknotów, po czym chuda wiedźma w czarnej sukni wysunęła na zewnątrz nos, zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem i wreszcie wpuściła do domu. Było tam zupełnie ciemno, nie widziałem nic prócz migotliwego światła palnika gazowego, padającego na otynkowaną ścianę i pogrążającego wszystko inne w głębokim cieniu. Czuć było smród szczurów i kurz. Kobieta bez słowa odpaliła świecę od palnika i pokuśtykała przodem, prowadząc mnie korytarzem ku kamiennym schodkom.

– *Voilà!* – powiedziała. – Zejdź do piwnicy i czyń, co chcesz. Ja nic nie widzę, nie słyszę, nie wiem. Wolno ci wszystko, rozumiesz? Absolutnie wszystko.

Ha, *messieurs*, czyż muszę wam to opisywać – *forcément*, sami to znacie, ów dreszcz na wpół wynikający z grozy, na wpół z radości, który w takich chwilach przenika ciało. Szedłem w dół, ręką badając ścianę, słyszałem jedynie własny oddech i szuranie moich butów na kamiennych stopniach, prócz tego panowała kompletna cisza. Na końcu schodów wyczułem dłonią przełącznik elektryczny. Przekręciłem go, a wielki żyrandol z tuzinem czerwonych żarówek zalał piwnicę krwawym światłem. Ujrzałem wówczas, że piwnica nie jest wcale piwnicą, tylko raczej sypialnią – wspaniałą, bogatą, oślepiająco udekorowaną sypialnią, w której wszystko, od podłogi po sufit, urządzone było w kolorze krwiście czerwonym. Wyobraźcie to sobie, *messieurs et dames*! Czerwony dywan na posadzce, czerwone tapety na ścianach, czerwone pluszowe obicia krzeseł, nawet sufit pomalowany na czerwono; czerwień wszędzie, czerwień drażniąca zmysły. I była to czerwień ciężka, dusząca, jak gdyby wywołana światłem przepuszczonym przez naczynia z krwią. Na drugim końcu pomieszczenia stało wielkie kwadratowe łoże przykryte kołdrami w tym samym odcieniu czerwieni, a na nich leżała dziewczyna, ubrana w aksamitną, czerwoną suknię. Na mój widok skuliła się, usiłując ukryć kolana pod krótką suknią. Zatrzymałem się przy wejściu.

– Podejdź tu, dziecino – zawołałem.

Dziewczyna wydała z siebie jęk trwogi. W mgnieniu oka znalazłem się przy łóżku. Próbowała wymknąć mi się, lecz chwyciłem ją za gardło – o tak, widzicie? – mocno! Walczyła, błagała o litość, trzymałem jednak z całych sił, odchylając jej głowę i patrząc jej w twarz. Miała jakieś dwadzieścia lat, jej twarz była szeroka i tępa jak u głupiego dziecka, przykrywała ją jednak warstwa szminki i pudru. Jej błękitne

głupie oczy lśniły w krwawym świetle, przepełnione lękiem i zagubieniem, jakie widuje się tylko w oczach tego rodzaju kobiet. Bez wątpienia była to prosta chłopka, którą rodzice sprzedali w niewolę.

Bez zbędnych słów zsunąłem ją z łoża i cisnąłem na podłogę, po czym sam rzuciłem się na nią jak tygrys! Och radości! Cóż za nieporównywalne z niczym uniesienie wówczas poczułem! O tym właśnie, *messieurs et dames*, chcę wam tutaj opowiedzieć. *Voilà l'amour!* Oto miłość prawdziwa, oto jedyna rzecz w świecie, o jaką warto się starać, oto coś, przy czym bledną wszystkie wasze sztuki, ideały, wszystkie wasze filozofie i religie, wszystkie piękne słowa i wzniosłe czyny. Wszystko to staje się bezwartościowe jak popiół. Gdy raz doświadczyło się miłości – miłości prawdziwej – to czyż istnieje cokolwiek na świecie, co w porównaniu z nią nie byłoby zaledwie wątłym cieniem rozkoszy?

Ponawiałem swe ataki z coraz większą dzikością, dziewczyna raz za razem próbowała uciekać. Błagała o litość, a ja śmiałem się jej w twarz.

– Litości! – drwiłem. – Czy naprawdę myślisz, że przyszedłem tu okazywać litość? Czy myślisz, że po to właśnie zapłaciłem tysiąc franków? – Przysięgam wam, *messieurs et dames*, że gdyby nie przeklęte prawo, które okrada nas z naszej wolności, zamordowałbym ją wówczas na miejscu.

Och, jakże ona krzyczała, jakże gorzkie były jej okrzyki cierpienia. Nie było jednak nikogo, kto mógłby je usłyszeć. Głęboko pod ulicami Paryża byliśmy bezpieczni jak w sercu piramidy. Łzy płynęły po twarzy dziewczyny, zmywając puder i pozostawiając długie brudne smugi. Och, cóż to był za niezapomniany czas! *Messieurs et dames*, wy,

którzy nigdy nie doświadczyliście subtelniejszych uniesień miłości, dla was ten rodzaj rozkoszy jest niemal nie do pojęcia. Ale i ja teraz, gdy moja młodość minęła – ach, młodość! – nigdy już nie ujrzę życia tak pięknym jak wtedy. Skończone.

Wszystko już skończone, na zawsze. Ach, nędza, krótkotrwałość, rozczarowanie towarzyszące ludzkiej radości! Jak długo bowiem trwa w rzeczywistości – *car en realité* – owa najwyższa rozkosz miłości? Tyle co nic, moment, być może sekundę. Sekunda ekstazy, a po niej proch, popiół, nicość.

Tak więc na jedną krótką chwilę schwyciłem owo szczęście najwyższe, najbardziej wyrafinowaną emocję, do jakiej dążyć może istota ludzka. I w tejże samej chwili ona zgasła, a ja zostałem z niczym. Cała ma dzikość, namiętność rozwiały się niczym płatki róży. Stałem się zimny i znużony, pełen próżnych wyrzutów sumienia. Zacząłem niemalże współczuć dziewczynie łkającej na podłodze. Czyż to nie odrażające, że padamy ofiarą tak okrutnych emocji? Nie spojrzałem na nią więcej, myślałem tylko o tym, by się stamtąd wydostać. Szybkim krokiem wybiegłem po schodach na górę, a później na ulicę. Było ciemno i przeszywająco zimno, ulice były puste, moje obcasy uderzały o bruk z pustym stukiem. Straciłem wszystkie pieniądze, nie stać mnie było nawet na taksówkę. Piechotą wróciłem do mojego zimnego, pustego pokoju.

Oto właśnie, *messieurs et dames*, to, co obiecałem wam wyjawić. Oto właśnie Miłość. Tamten dzień był najszczęśliwszym dniem mojego życia.

Charlie był osobliwym typem. Opisuję go, by pokazać, jak bardzo różne i dziwne postacie można było spotkać w dzielnicy Coq d'Or.

3

Mieszkałem w dzielnicy Coq d'Or przez półtora roku. Któregoś letniego dnia odkryłem, że zostało mi zaledwie czterysta pięćdziesiąt franków oszczędności, a mój tygodniowy dochód w tamtym czasie wynosił trzydzieści sześć franków, które zarabiałem, udzielając lekcji angielskiego. Dotychczas nie zastanawiałem się nad przyszłością, teraz jednak musiałem działać, i to szybko. Postanowiłem zacząć szukać pracy oraz zapłacić dwieście franków miesięcznego czynszu z góry – jak się okazało później, była to bardzo dobra decyzja. Mając pozostałe dwieście pięćdziesiąt franków oraz regularny dochód z korepetycji, spokojnie mogłem przeżyć miesiąc i znaleźć w tym czasie pracę. Chciałem zostać przewodnikiem dla którejś z agencji turystycznych, rozważałem też posadę tłumacza. Niestety, pech pokrzyżował moje plany.

Pewnego dnia w naszym hotelu pojawił się młody Włoch, który twierdził, że jest kompozytorem. Była to postać niejednoznaczna, jego bokobrody sugerowały bowiem, iż jest albo łotrem, albo intelektualistą, i nikt nie miał całkowitej pewności, do której z tych grup go zaliczyć. Nie spodobał się Madame F. i kazała zapłacić mu tygodniowy czynsz z góry. Włoch zapłacił i zamieszkał w hotelu na sześć nocy. W tym czasie dorobił klucze i ostatniej nocy obrabował tuzin pokojów, w tym mój. Na szczęście nie znalazł pieniędzy, które miałem w kieszeniach, dzięki czemu nie zostałem bez grosza przy duszy. Miałem teraz jedynie czterdzieści siedem franków, czyli siedem szylingów i dziesięć pensów.

Zdarzenie to położyło kres moim planom poszukiwania pracy. Musiałem teraz zacząć żyć za sześć franków dzien-

nie, i od początku było to zbyt trudne, bym mógł skupić się na czymkolwiek innym. W tym momencie rozpoczęło się moje doświadczenie ubóstwa, jeśli nie całkowitej nędzy – sześć franków dziennie stanowiło bowiem granicę skrajnej biedy. Sześć franków to jeden szyling. Za szylinga dziennie można przeżyć w Paryżu, jeśli wie się jak. Ale nie jest to łatwe.

Pierwszy kontakt z biedą to interesujące doświadczenie. Wcześniej wiele rozmyślałeś o biedzie, bieda była tym, czego obawiałeś się przez całe swoje życie, i wiedziałeś, że prędzej czy później cię dopadnie. Jednak gdy już do tego dojdzie, okazuje się, że jest to doświadczenie skrajnie odmienne od tego, czego się spodziewałeś. Myślałeś, że życie w nędzy będzie nieskomplikowane, tymczasem jest ono niewiarygodnie zawiłe. Myślałeś, że będzie straszne, tymczasem jest ono co najwyżej uciążliwe i nudne. W pierwszej kolejności odkrywasz ów szczególny rodzaj poniżenia, wybiegi, do których jesteś zmuszany, skomplikowaną podłość, wyjadanie resztek.

Dostrzegasz na przykład dyskrecję związaną z ubóstwem. Nagłym zrządzeniem losu masz odtąd żyć za sześć franków dziennie. Oczywiście jednak nie odważysz się do tego przyznać – musisz udawać, że żyjesz tak jak dawniej. Od samego początku wikła cię to w sieć kłamstw, ale nawet one z trudem pozwalają ci utrzymać pozory. Przestajesz wysyłać ubrania do pralni, a praczka zaczepia cię na ulicy i pyta dlaczego; odpowiadasz coś niewyraźnie, a ona uznaje, że wysyłasz rzeczy gdzieś indziej, i obraża się na ciebie dozgonnie. Właściciel trafiki dopytuje, dlaczego ograniczyłeś palenie. Otrzymujesz listy, na które chciałbyś odpowiedzieć, ale nie możesz z powodu wysokich cen znaczków pocztowych. I wreszcie posiłki – posiłki stanowią najwięk-

szą trudność. Każdego dnia w porze obiadowej wychodzisz, udając, że idziesz do restauracji, tymczasem wałęsasz się przez godzinę po Ogrodach Luksemburskich, obserwując gołębie. Później przemycasz jedzenie do pokoju w kieszeniach. Twoje posiłki składają się teraz z chleba i margaryny albo z chleba i wina, a nawet sama ich natura zarządzana jest kłamstwem. Musisz kupować chleb żytni zamiast zwykłego, ponieważ bochenki żytniego, choć droższe, są okrągłe i mieszczą się w kieszeniach. W ten sposób tracisz jednego franka dziennie. Czasami, by zachować pozory, wydajesz sześćdziesiąt centymów na drinka, a przez to stać cię później na odpowiednio mniej jedzenia. Twoja pościel robi się coraz brudniejsza, a tobie kończą się mydło i żyletki. Powinieneś się ostrzyc, ale postanawiasz poradzić sobie samodzielnie, jednak z tak koszmarnym rezultatem, że w końcu i tak musisz zapłacić fryzjerowi, na co wydajesz równowartość całodniowego wyżywienia. Całymi dniami opowiadasz kłamstwa i są to kłamstwa kosztowne.

Odkrywasz, iż sześć franków na dzień oznacza wielką niepewność. Przytrafiają się małe okrutne katastrofy, które pozbawiają cię posiłków. Wydajesz ostatnie osiemdziesiąt centymów na litr mleka, które gotujesz nad lampką spirytusową. W tej samej chwili widzisz, jak pluskwa biegnie ci po przedramieniu, prztykasz w nią palcem, a ona spada prosto do mleka. Nic na to nie poradzisz, możesz jedynie wylać mleko i pozostać bez jakiegokolwiek posiłku.

Idziesz do piekarni, by kupić funt chleba, i czekasz w kolejce, gdy dziewczyna odkrawa kawałek dla innego klienta. Jest niedokładna i odkrawa nieco więcej niż funt. – *Pardon, monsieur* – mówi. – Zapłaci pan dwa sous więcej, dobrze? – Chleb kosztuje jednego franka za funt, więc masz przy sobie dokładnie tyle. Myślisz sobie, że i tobie dziew-

czyna może ukroić za dużo, a wtedy musiałbyś przyznać, że nie stać cię na dwa sous więcej. Panikujesz i dopiero kilka godzin później zbierasz się na odwagę, by ponownie wejść do piekarni.

W sklepie warzywnym chcesz wydać franka na kilogram ziemniaków. Jedna z monet, którymi płacisz, okazuje się monetą belgijską, a sklepikarz odmawia jej przyjęcia. Wymykasz się ze sklepu i nie możesz tam już nigdy więcej wrócić.

W swoich wędrówkach zabłądziłeś do bogatej dzielnicy i zauważasz majętnego znajomego. By uniknąć spotkania z nim, wskakujesz do pierwszej lepszej kawiarni, w której jednak musisz coś kupić, wydajesz więc ostatnie pięćdziesiąt centymów na szklankę czarnej kawy z martwą muchą w środku. Katastrofy te mnożą się dziesiątkami. Są one częścią procesu popadania w ubóstwo.

Odkrywasz, co to znaczy być głodnym. Mając w żołądku jedynie chleb i margarynę, wychodzisz z domu i oglądasz sklepowe witryny. W każdej z nich widzisz jedzenie, które dosłownie cię obraża: wielkie martwe świnie, kosze pełne gorących bochenków, ogromne żółte bloki masła, wieńce kiełbas, góry ziemniaków, sery Gruyère wielkie jak głazy. Na widok takiej masy jedzenia nachodzi cię przemożna litość nad sobą samym. Masz ochotę chwycić bochenek i uciec, połknąć chleb, zanim cię złapią, nie robisz tego jednak z czystego tchórzostwa.

Odkrywasz też nudę, wierną kompankę biedy. Są chwile, kiedy nie masz nic do roboty, a będąc niedożywionym, nie masz siły czymkolwiek się zainteresować. Przez pół dnia leżysz na łóżku, czując się jak *jeune squelette* z wiersza Baudelaire'a. Jedynie posiłek mógłby postawić cię na nogi. Odkrywasz, że po tygodniu o chlebie i margarynie przesta-

jesz być człowiekiem, a stajesz się samym brzuchem z kilkoma dodatkowymi organami.

Tak właśnie wygląda życie z sześcioma frankami dziennie do dyspozycji. Można by opisywać je dalej, choć nic nowego by to nie wniosło. W Paryżu żyją tak tysiące osób – niedożywieni artyści i studenci, prostytutki, które opuściło szczęście, wszelkiej maści bezrobotni. Tak wyglądają przedmieścia biedoty.

Trwałem tak przez mniej więcej trzy tygodnie. Czterdzieści siedem franków szybko się skończyło i radziłem sobie jak mogłem za pomocą trzydziestu sześciu franków dochodu z lekcji angielskiego. Nie mając doświadczenia, źle zarządzałem swoimi pieniędzmi i czasami zdarzało się, że pozostawałem bez jedzenia na cały dzień. W takich chwilach sprzedawałem części swojej garderoby, wynosząc je z hotelu potajemnie w niewielkich paczkach i zanosząc do sklepiku przy Rue de la Montagne St Geneviève. Właścicielem sklepu był rudowłosy Żyd, mężczyzna wyjątkowo niesympatyczny, który na widok klienta wpadał w niepohamowaną furię. Z jego zachowania można by wywnioskować, że przychodząc do sklepu, wyrządzało się mu ogromną krzywdę. – *Merde!* – krzyczał. – To znowu pan? Cóż pan sobie wyobraża? Że to darmowa garkuchnia? – Płacił też przy tym niewyobrażalnie niskie ceny. Za kapelusz kupiony za dwadzieścia pięć szylingów i prawie nigdy nienoszony dał mi raptem pięć franków. Za dobrą parę butów – pięć franków. Za koszule – po jednym franku. Zamiast kupować, wolał dawać coś w zamian, miał też wypracowaną sztuczkę, polegającą na wciskaniu ci do ręki jakiegoś zupełnie niepotrzebnego przedmiotu i udawaniu, że transakcja została zaakceptowana przez obie strony. Któregoś razu widziałem, jak wziął od jakiejś starszej

kobiety całkiem dobry płaszcz i wcisnął jej w dłoń dwie białe kule bilardowe, po czym gwałtownie wypchnął ją ze sklepu na ulicę, nim zdążyła zaprotestować. Z przyjemnością rozpłaszczyłbym mu nos, gdybym tylko mógł sobie na to pozwolić.

Te trzy tygodnie były czasem nędznym i pełnym niewygód, a co gorsza ewidentnie czekały mnie czasy jeszcze trudniejsze, gdyż wkrótce trzeba było zapłacić za czynsz. Mimo to sytuacja nie była choćby w ćwierci tak straszna, jak się obawiałem, a to dlatego, że gdy bieda już cię dopadnie, odkrywasz jedną rzecz ważniejszą od innych. Odkrywasz nudę, wszelkie okrutne komplikacje i zaczątki głodu, ale także poznajesz jedną wspaniałą cechę nędzy, a mianowicie taką, że unicestwia ona przyszłość. Do pewnego stopnia prawdą jest, że im mniej masz pieniędzy, tym mniej się martwisz. Mając zaledwie sto franków przy duszy, łatwo wpaść w panikę. Mając jednak raptem trzy franki, stajesz się obojętny: za trzy franki jesteś w stanie wyżywić się do jutra, a o dalszej przyszłości nie jesteś w stanie myśleć. Może i dręczy cię nuda, ale nie odczuwasz strachu. Myślisz sobie: „Będę głodować przez dzień lub dwa, przerażające, czyż nie?" – a zaraz później twój umysł zaczyna zajmować się zupełnie czymś innym. Dieta oparta na chlebie i margarynie do pewnego stopnia staje się też środkiem znieczulającym.

Jeszcze jedno uczucie stanowi wielką pociechę w ubóstwie. Jestem przekonany, że każdy, kto doświadczył biedy, zna je bardzo dobrze. Jest to uczucie ulgi, niemal przyjemności, wynikającej ze świadomości, że jest się już na samym dnie. Często mówiłeś o schodzeniu na psy – no i proszę, oto owe „psy", zszedłeś na nie i jakoś dajesz sobie radę. Myśl ta bardzo skutecznie koi nerwy.

4

Pewnego dnia moje lekcje angielskiego urwały się niespodziewanie. Pogoda robiła się upalna i jeden z moich uczniów, nazbyt rozleniwiony, by kontynuować naukę, zwolnił mnie. Inny wyprowadził się bez uprzedzenia, będąc mi dłużnym dwanaście franków. Zostało mi w kieszeni trzydzieści centymów i ani grama tytoniu. Przez półtora dnia nie miałem nic do jedzenia ani do palenia, po czym – nazbyt zmęczony, by trwać tak dłużej – spakowałem resztę moich ubrań do walizki i zaniosłem je do lombardu. To położyło kres wszelkiemu udawaniu, że mam jakieś pieniądze, ponieważ z hotelu nie wolno było wynosić ubrań bez pozwolenia Madame F. Pamiętam jej zdziwienie, gdy zwróciłem się do niej w tej sprawie, powszechnym zwyczajem były bowiem wyprowadzki z hotelu bez uiszczenia zapłaty.

Pierwszy raz znalazłem się we francuskim lombardzie. Wchodziło się przez ogromny kamienny portal (oczywiście z napisem *Liberté, Egalité, Fraternité* – słowa te widnieją we Francji nawet nad posterunkami policji) do dużego, pustego pomieszczenia przypominającego szkolną salę lekcyjną, w której znajdował się kontuar i rzędy ław. W kolejce czekało jakieś czterdzieści osób. Przy ladzie wręczało się swoje fanty urzędnikowi i siadało na ławie w oczekiwaniu. Gdy wartość dobytku została oszacowana, urzędnik wołał głośno: – *Numéro* taki a taki, czy zgadzasz się na pięćdziesiąt franków? – Czasami było to tylko piętnaście, dziesięć lub pięć franków, tak czy inaczej ofertę poznawali wszyscy czekający na sali. Gdy wszedłem, urzędnik zawołał z nutą pogardy w głosie: – *Numéro 83*, proszę tu podejść! – przy czym gwizdnął krótko i wykonał taki gest, jakby przywoły-

wał psa. *Numéro 83* podszedł do kontuaru; był to stary brodaty mężczyzna, w palcie zapiętym pod szyję i w spodniach o wystrzępionych nogawkach. Urzędnik bez słowa cisnął zawiniątko przez ladę – najwyraźniej nie było nic warte. Paczuszka upadła na ziemię i otworzyła się, pokazując wszystkim zebranym swoją zawartość: cztery pary wełnianych kalesonów. Nikt nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Biedny *Numéro 83* pozbierał z ziemi kalesony i ruszył ku wyjściu, mamrocząc coś pod nosem.

Ubrania, które chciałem zastawić, razem z walizką, kosztowały ponad dwadzieścia funtów, i były w dobrym stanie. Byłem przekonany, że warte są jakieś dziesięć funtów, a ćwierć tej kwoty (jako że w lombardzie można się spodziewać jednej czwartej wartości zastawianych fantów) wynosiła dwieście pięćdziesiąt do trzystu franków. Czekałem bez niepokoju, spodziewając się w najgorszym razie dwustu franków.

W końcu urzędnik wywołał mój numer:

– *Numéro 97*!

– Tak – powiedziałem, wstając.

– Siedemdziesiąt franków?

Siedemdziesiąt franków za ubrania warte dziesięć funtów! Nie było jednak sensu się kłócić; wcześniej widziałem, jak ktoś próbował się targować, a wówczas urzędnik natychmiast wycofał ofertę. Zabrałem pieniądze i kwitek i wyszedłem z budynku. Nie miałem teraz żadnych ubrań, prócz tego co na sobie – wytartego na łokciach płaszcza, średnio nadającego się do zastawienia, oraz jednej koszuli na zmianę. Później, gdy już było za późno, dowiedziałem się, że mądrzej byłoby pójść do lombardu po południu. Jego pracownicy, jak zresztą większość Francuzów, bywają w złym nastroju dopóki nie zjedzą lunchu.

Gry wróciłem do hotelu, Madame F. zamiatała podłogę w *bistro*. Podeszła do schodów, by do mnie zagadać. Widziałem wyraźnie, że martwi się o mój czynsz.

– No i? – spytała. – Ile dostał pan za swoje rzeczy? Niewiele, co?

– Dwieście franków – odpowiedziałem bez wahania.

– *Tiens!* – zdziwiła się. – Całkiem nieźle. Ależ kosztowne muszą być te angielskie ubrania!

Kłamstwo zaoszczędziło mi wielu kłopotów, a co ciekawe, wkrótce okazało się prawdą. Kilka dni później otrzymałem dokładnie dwieście franków zaległego honorarium za artykuł prasowy, i z wielkim bólem wydałem całość co do grosza na opłacenie czynszu. Tak więc choć w kolejnych tygodniach bliski byłem zagłodzenia, to przez cały czas miałem dach nad głową.

Teraz absolutną koniecznością stało się znalezienie pracy. Przypomniałem sobie o pewnym znajomym Rosjaninie imieniem Borys, który pracował jako kelner i być może mógłby mi pomóc. Poznałem go w szpitalu, gdzie leczył zapalenie stawów w lewej nodze. Powiedział mi wtedy, żebym zwrócił się do niego, jeślibym kiedykolwiek znalazł się w kłopotach.

Muszę w kilku zdaniach opowiedzieć o Borysie, gdyż był on postacią bardzo barwną, a także pozostawał przez dłuższy czas moim serdecznym przyjacielem. Borys był postawnym mężczyzną o cokolwiek wojskowym sposobie bycia, całkiem przystojnym, choć otyłym z powodu choroby, która zmusiła go do dłuższego leżenia w łóżku. Miał mniej więcej trzydzieści pięć lat i jak większość rosyjskich uchodźców życie pełne przygód. Jego rodzice, zabici podczas Rewolucji, byli majętni, a on sam podczas wojny służył w Drugim Pułku Strzelców Syberyjskich, która to jednost-

ka, jak twierdził, była najlepszym oddziałem w całej Armii Rosyjskiej. Po wojnie pracował najpierw w fabryce szczotek, później jako tragarz w Les Halles, jeszcze później został pomywaczem, aż wreszcie awansował na kelnera. Nim zachorował, zatrudniony był w Hôtel Scribe, gdzie z samych napiwków codziennie dostawał sto franków. Jego ambicją było zostać *maître d'hôtel*, odłożyć pięćdziesiąt tysięcy franków i założyć niewielką ekskluzywną restaurację na prawym brzegu Sekwany.

Opowiadając o wojnie, Borys zawsze podkreślał, iż był to najszczęśliwszy okres jego życia. Wojna i żołnierka były jego pasją. Czytał niezliczone książki o strategii i historii wojskowości, wiedział wszystko o teoriach Napoleona, Kutuzowa, Clausewitza, Moltkego i Focha. Wszystko, co miało jakiś związek z wojskiem, sprawiało mu przyjemność. Jego ulubioną kawiarnią była Gloserie des Lilas na Montparnasse – wyłącznie z tego powodu, że stoi przed nią pomnik marszałka Neya. W późniejszym czasie Borys i ja nieraz chodziliśmy razem na Rue du Commerce. Jeśli jechaliśmy metrem, Borys zwykł wysiadać na stacji Cambronne zamiast na Commerce, która była bliżej. Podobało mu się nawiązanie do generała Cambronne, który na wezwanie do poddania się pod Waterloo odpowiedział tylko „*Merde!*".

Po Rewolucji Borysowi pozostały tylko medale i kilka fotografii jego oddziału; nie pozbywał się ich nawet wówczas, gdy wszystko inne zastawiał w lombardzie. Niemal każdego dnia ustawiał fotografie na łóżku i opowiadał o nich:

– *Voilà, mon ami*. Tutaj widzisz mnie na czele kompanii. Wspaniałe, rosłe chłopy, co? Niepodobne do tych małych szczurków, Francuzów. Zostałem kapitanem w wieku lat

dwudziestu, nieźle, co? Tak, kapitanem w Drugim Pułku Strzelców Syberyjskich. A mój ojciec był pułkownikiem.

Ah, mais, mon ami, wzloty i upadki życia! Byłem kapitanem w Armii Rosyjskiej, a zaraz później paff! przyszła Rewolucja i straciłem wszystko. W 1916 roku zatrzymałem się na tydzień w Hôtel Édouard Sept, w 1920 starałem się tam o posadę nocnego stróża. Byłem nocnym stróżem, piwnicznym, cykliniarzem, pomywaczem, tragarzem, klozetowym. Dawałem napiwki kelnerom i sam je od nich otrzymywałem.

Ach, poznałem jednak życie gentlemana, *mon ami*. Nie mam zamiaru się przechwalać, ale któregoś dnia próbowałem policzyć, ile kochanek miałem w życiu, i doliczyłem się ponad dwóch setek. Tak, co najmniej dwieście… No cóż, *ça reviendra*. Zwycięstwo należy do tych, którzy walczą najwytrwalej. Odwagi! – i tak dalej, i tak dalej.

Borys miał osobliwą i zmienną naturę. Ciągle marzył o powrocie do armii, ale jednocześnie tak długo pracował jako kelner, że udzieliła mu się kelnerska mentalność. Choć nigdy nie udało mu się zaoszczędzić więcej niż kilka tysięcy franków, był całkowicie pewien, że w końcu uda mu się otworzyć własną restaurację i wzbogacić się na niej. Z czasem przekonałem się, że wszyscy kelnerzy rozmawiają i myślą o tym samym – to właśnie trzyma ich w tym zawodzie. Borys ciekawie opowiadał o hotelowym życiu.

– Bycie kelnerem jest jak hazard – mawiał. – Możesz umrzeć w biedzie, ale możesz też w rok zbić fortunę. Nie dostajesz wynagrodzenia, polegasz całkowicie na napiwkach – dziesięć procent od każdego rachunku oraz prowizja od firm winiarskich od każdego korka od szampana. Czasami zdarzają się gigantyczne napiwki. Barman u Maxima zarabia na przykład pięćset franków dziennie. W sezonie nawet

więcej… Sam kiedyś zarabiałem dwieście franków dziennie, było to w hotelu w Biarritz, w szczycie sezonu. Cały personel, poczynając od menadżera aż po *plongeurów*, pracował po dwadzieścia jeden godzin na dobę. Dwadzieścia jeden godzin pracy i dwie i pół godziny snu przez cały miesiąc. Ale było warto, skoro zarabiało się dwieście franków dziennie.

Nigdy nie wiadomo, kiedy spotka cię szczęście. Któregoś razu, gdy pracowałem w Hôtel Royal, pewien Amerykanin przywołał mnie przed kolacją i zamówił dwadzieścia cztery koktajle na brandy. Przyniosłem je wszystkie na tacy, w dwudziestu czterech szklankach. – A teraz, *garçon* – powiedział ów gość (a był już pijany) – ja wypiję tuzin i ty wypijesz tuzin, a jeśli po tym będziesz w stanie dojść do drzwi, dostaniesz ode mnie sto franków. – Doszedłem do drzwi i Amerykanin zapłacił mi sto franków. Każdego wieczora przez sześć dni sytuacja się powtarzała: dwanaście koktajli na brandy i sto franków. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że został on wydalony z Francji na żądanie rządu amerykańskiego… Defraudacja. Ci Amerykanie mają w sobie coś fantastycznego, nie sądzisz?

Lubiłem Borysa i spędzaliśmy razem ciekawe chwile, grając w szachy i rozmawiając o wojnie i hotelach. Borys często sugerował, że powinienem zostać kelnerem. – Spodobałoby ci się takie życie – mawiał. – Nie jest źle, gdy ma się pracę, sto franków zarobku każdego dnia, a do tego kochankę. Twierdzisz, że chcesz zająć się pisaniem. Cóż za brednie! Tylko w jeden sposób można dorobić się na pisaniu, a mianowicie poprzez ślub z córką wydawcy. Ale z ciebie byłby dobry kelner, musiałbyś tylko zgolić te swoje wąsy. Jesteś wysoki i mówisz po angielsku, to najważniejsze, co potrzeba, by być dobrym kelnerem. Poczekaj tylko, aż będę